

WAKACJE Z *ANABAŻĄ*.
Z PROF. WŁODZIMIERZEM LENGAUEREM O MŁODOŚCI,
LATACH STUDENCKICH I KSZTAŁTOWANIU SIĘ
WARSZTATU NAUKOWEGO ROZMAWIAJĄ
ANDRZEJ GILLMEISTER I ADRIAN SZOPA*

Kiedy pojawiło się u Pana Profesora zamilowanie do historii starożytnej i kultury antycznej?

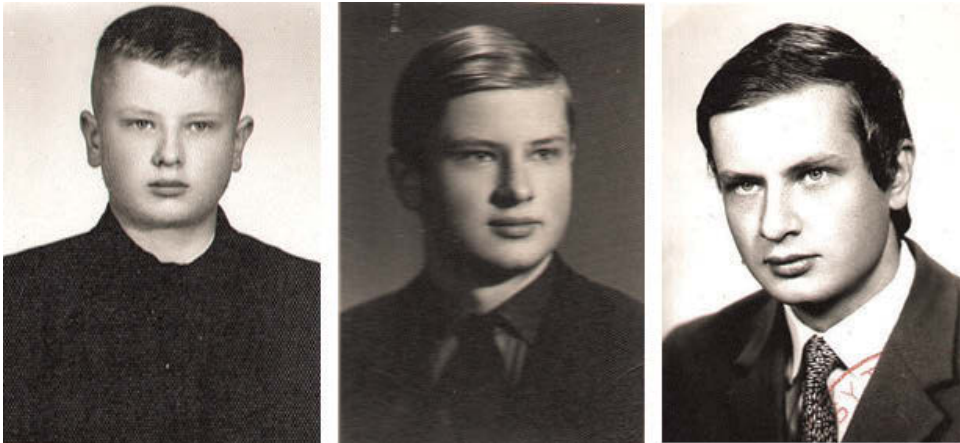
Można powiedzieć, że już w najgłębszym dzieciństwie. Pierwszą lekturą, która wywarła na mnie ogromne wrażenie – aczkolwiek niewiele z niej zrozumiałem, bo nie pamiętam dokładnie, ile miałem wówczas lat, ale na pewno mniej niż dziesięć – była *Iliada* w przekładzie Dmochowskiego. Wydawało mi się to wszystko tak cudowne, niezwykle i magiczne, że bardzo mnie wciągnęło. Potem nastąpiły inne lektury, przede wszystkim książki Jana Parandowskiego. Istotne, że zacząłem jednak od *Iliady*, dopiero później trafiłem na *Wojnę trojańską* i *Przygody Odysa* Parandowskiego. Potem, trochę później, ale nie pamiętam dokładnie kiedy, przeczytałem inną powieść Parandowskiego, która utkwiała w mojej pamięci – *Dysk olimpijski*, dziś już niestety książka prawie zapomniana, nad czym ubolewam, bo to moim zdaniem świetna rzecz pod każdym względem, a na pierwszym miejscu od strony polszczyzny. Zainteresowanie światem antycznym narastało we mnie od dziecka, ale nie mogę powiedzieć, że było to dominujące zainteresowanie. W szkole miałem łacinę prowadzoną przez świetną nauczycielkę i bardzo sympatyczną osobę, panią mgr Hildę Kędzię. Muszę przyznać, że wtedy pociągnęła mnie łacina jako język, a była prowadzona jeszcze według starego programu, więc wymagania były spore. Na przykład w ostatniej klasie czytało się poetów, Horacego i Owidiusza. Dzięki temu niektóre ustępy ich utworów znam na pamięć do teraz. Wówczas zafascynowało mnie to przede wszystkim językowo, i to do tego stopnia, że myślałem o studiowaniu filologii klasycznej. Zresztą myśląc o studiach miałem trzy pomysły, bo pociągały mnie trzy kierunki: filologia klasyczna, historia i polonistyka. Właściwie ten trzeci to

* Podstawą tego tekstu jest część wywiadu z prof. Włodzimierzem Lengauerem z dnia 23 lutego 2017 r. przeprowadzonego przez Adriana Szopę i Andrzeja Gillmeistera. Rozmowa powstała w ramach cyklu „Rozmowy z Mistrzem” Ośrodka Dokumentacji Filmowej Nauki Polskiej Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie oraz Stowarzyszenia Historyków Starożytności. Całość rozmowy jest dostępna w Archiwum Historii Mówionej: <http://stowarzyszeniehistor-ykowstarozytynosci.edu.pl/portfolio/wlodzimierz-lengauer/>

może i najbardziej, bo mnie najbardziej interesuje literatura, co chyba widać po moich pracach po dziś dzień. Wobec tego może przy polonistyce bym i pozostał, gdyby nie moje głębokie poczucie wstydu i niepewności związane z tym, że nigdy w życiu nie napisałem wiersza. Wydawało mi się wtedy, że jak się idzie studiować polonistykę, to trzeba pisać wiersze. Miałem kilku kolegów, którzy pisali i bardzo się tym szczycili, i chyba ostatecznie poszli na polonistykę. A ja nie pisałem, jakoś kompletnie mi to nie trafiało do przekonania. Chociaż próbowałem w wieku nastu lat coś z siebie wykrzesać. Nic. Dlatego polonistyka odpadła.

Jaka była rola domu rodzinnego w kształtowaniu tych zainteresowań?

Jakiś wpływ na mnie wywarła z pewnością ta okoliczność, że wcześniej poznałem pewne strzępy greki, greckie słowa, powiedzenia i alfabet grecki, bo mój ojciec, prawnik, kończył w roku 1927 gimnazjum klasyczne we Lwowie. Naturalnie z greką, o łacinie nie wspominając. Dom był zawsze pełen książek, a studia wyższe były oczywistością, w moim przypadku jasne było, że będę studiował w Warszawie, bo absolwentem Uniwersytetu Warszawskiego był właśnie mój ojciec, chociaż rodzina, zresztą w Polsce osiadła całkiem niedawno, związana była bardziej ze Lwowem, gdzie za austriackich czasów urodził się mój dziadek, wywodzący się z Austrii (a dokonał życia w Belgii). Myśląc o studiach zawsze wiedziałem, że będę studiował w Warszawie, trzeba było tylko dokonać wyboru kierunku.



Włodzimierz Lengauer w r. 1962 (w ósmej klasie), 1966 (początek studiów) i 1971 (ukończenie studiów)

Wybór padł na historię.

Po przemyśleniu przeważała historia. Idąc na studia nie byłem od początku przekonany, że będzie to historia starożytna. Trzeba powiedzieć, że na pierwszym roku największym postrachem był egzamin u Izy Bieżuńskiej-Małowist, który – jak i sama osoba egzaminującej – był przedmiotem legendy i bogatej tradycji ustnej w Instytucie. Ze strachu uczyłem się materiału niesłychanie dogłębnie i dokładnie, co dzisiejszemu studentowi się w głowie nie mieści. Przeczytałem, mało że

przeczytałem, wyuczyłem się dwóch wielkich tomów *Wielkiej Historii Powszechnej* autorstwa Wałka-Czerneckiego i Piotrowicza. Gardziłem podręcznikiem Władimira Siergiejewy do Grecji, który do tej pory uważam za wyjątkowo prymitywny. Nie gardziłem natomiast *Historią starożytnego Rzymu* Mikołaja Maszki. Po dziś dzień uważam, że to bardzo dobry podręcznik jak na owe czasy, ale jednak wykulem na blachę dwa przedwojenne polskie tomszcza. Ta nauka – zwłaszcza wykucie okresu hellenistycznego autorstwa Wałka, a połowa tomu to właśnie dzieje hellenizmu, z niesamowitymi szczegółami, bardzo zresztą barwnymi – zafascynowała mnie. Właśnie po egzaminie nastąpił chyba moment, w którym starożytność uwiodła mnie poczuciem, że to jest coś trudnego, a zatem chciałbym się w tym wykazać. No i jeszcze jedna rzecz: konieczność nauczenia się greki. Niezwykle uwiódł mnie ten język. Można powiedzieć, że znowu górę wzięły moje zainteresowania językiem i literaturą. Jasne więc było, że skoro chcę się nauczyć greki, muszę zająć się historią starożytną. W edukacji uniwersyteckiej funkcjonował w tamtym czasie inny system, specjalizację wybierało się na II roku. W przypadku starożytności był to system bardzo dobry, bo umożliwiał chociażby uczenie się greki przez cztery lata. Nawiasem mówiąc za koniec studiów filologicznych w Polsce uważam chwilę, od której można uzyskać licencjat z filologii klasycznej po trzech latach. Absolutnie nie wierzę, że jest możliwe nauczenie się greki i łaciny w trzy lata. Miałem dobrą łacinę jeszcze z liceum, więc na studiach poświęciłem się grece i od II roku zająłem się historią starożytną. Nad moim wyborem przeważała oczywiście osobowość Izy Biezuńskiej-Małowist, która uwiodła mnie już kompletnie. Gdy trafiłem na prowadzone przez nią proseminarium na II roku, stało się dla mnie jasne, że już tej specjalności nie opuszczę. Greki natomiast uczył mnie – nieomal indywidualnie, bo najwięcej było nas troje na tych zajęciach – przez cztery lata Benedetto Bravo. Uczęszczałem na niektóre zajęcia na filologii klasycznej, ale pamiętam już tylko wykłady Kazimierza Kumanieckiego

Jak wyglądało życie studenckie?

Cóż... Na początku trzeba powiedzieć, że nieporównywalna jest skala zjawiska. Kiedy zaczynałem studia, zwyczajem było urządzenie specjalnej inauguracji dla I roku całego Uniwersytetu. Wszyscy mieścili się swobodnie w Audytorium Maximum. Instytut, a nawet i Uniwersytet, był, jeśli nie kameralny, to na pewno elitarny. Same studia nie były powszechne. W moim pokoleniu studiowała jedna osoba na dziesięć. Kiedy rozpocząłem studia 1 października 1966 roku, było nas na historii czterdzieści osób. Przy czym profesor Gieysztor określił nas jako bardzo liczny rocznik. Dla porównania, na historii sztuki było dziesięć osób, podobnie na archeologii, etnologii czy muzykologii. To były środowiska bardzo małe. Powiem więcej, były to środowiska elitarne. I bardzo dobrze, że takie były. Świadczył o tym fakt, że zdecydowana większość z tych czterdziestu osób to byli ludzie o zbliżonej kulturze umysłowej, co oznacza te same lektury i te same zainteresowania. Nie było wówczas dyskotek, o nie! Spotykaliśmy się w niewielkim gronie w domach prywatnych lub klubach. Nie piło się wówczas piwa, co zdaje się młodzież dzisiaj uwielbia. Studenci z tamtych lat, przynajmniej ze środowiska, w którym się obracałem, z definicji gardzili i piwem, i wódką. Uznawano je za napoje dla

prostacków, studentowi nie wypadalo. Piliśmy wyłącznie wino. W latach sześćdziesiątych sklepy były dobrze zaopatrzone w wina bułgarskie i węgierskie. Od tamtego czasu jestem entuzjastą węgierskiego olaszrizling. Wina te nie były tanie, ale też nie były zbyt drogie na studencką kieszeń, zwłaszcza jeżeli nie wydawało się pieniędzy na inne alkohole. Butelka kosztowała około dwudziestu złotych. Nie była to bariera nieprzekraczalna. Piło się wino, co bardzo mocno chcę podkreślić. To jedna rzecz, która mówi o sposobie życia tego środowiska. A drugą rzeczą było, że bardzo dużo dyskutowało się o książkach. Poszczególne kierunki nie były, jak już wspomniałem liczne, więc spotkania były mieszane. Miałem przyjaciół z etnologii czy archeologii. Nie rozmawialiśmy więc o lekturach zawodowych. Chociaż pamiętam, że pod wpływem kolegów z etnologii zacząłem czytać tłumaczone wówczas prace Bronisława Malinowskiego. Muszę powiedzieć, że dużo zawdzięczam tym lekturom. Przede wszystkim jednak rządziła literatura piękna. Studenci humanistyki żyli przede wszystkim czytaniem literatury pięknej. Kolejna wspólna rzecz to kino. Miejscem, gdzie często się spotykaliśmy, były kina studyjne. Oglądaliśmy znakomite ówczesne filmy, czytaliśmy beletrystykę – o tym się mówiło. Uczestniczyłem w kulturze rozmowy i dyskusji, a nie kulturze idiotycznych wpisów na Facebooku czy gdzie indziej. To była kultura nastawiona na czytanie, oglądanie i twórcze przetwarzanie czytanego i oglądanego, a nie na bezmyślne powielanie treści z Internetu. W tamtych czasach funkcjonował legendarny, choć już trochę podupadający klub „Hybrydy” na Mokotowskiej. Nie bywałem tam zbyt często, bo dla mnie było za głośno i za hucznie, poza tym za tłoczno i zawsze było się ciężko dostać. Bardzo ceniłem za to spotkania w niewielkim gronie, powiedzmy dyskusyjne. Chociaż oczywiście nigdy ich tak nie nazywaliśmy, ich forma była dla nas naturalna. Tu muszę powiedzieć, że jestem pokoleniem '68 roku. Ten rok dla nas wszystkich był jakimś przetrąceniem. Spowodował potem poczucie wstydu, niesmaku, upokorzenia. Wywołał różne negatywne emocje. Może właśnie to spowodowało, że oderwane od szarego PRL-owskiego życia dyskusje o literaturze, filmie, teatrze były dla nas tak atrakcyjne. Właśnie, teatr... W tamtych czasach chodziło się regularnie do teatru. Przynajmniej, że nie zawsze było to takie miłe, bo raz potwornie się pochorowałem po jednej wizycie w teatrze. Kupowało się najtańsze bilety. Pamiętam jak dziś, że w Teatrze Dramatycznym najtańszy bilet za osiem złotych – pamiętam doskonale cenę, bo zawsze takie kupowałem – gwarantował miejsce na najwyższym balkonie. Siedziałem prosto pod otworem wentylacyjnym i leciało na mnie zimne powietrze. Zmarłem potwornie i potem pochorowałem się chyba na tydzień. Teatr, kino, książka to były naturalne rozrywki. Nie było wówczas pubów, więc piwo piło się w innych warunkach. Albo pod podławą knajpą, albo pod przysłowiowymi już dzisiaj, ale wówczas jak najbardziej funkcjonującymi budkami z piwem postawionymi na ulicach. Pod przysłowiowymi budkami zawsze stał przysłowiowy element, więc student uważał za dyshonor picie piwa w takich warunkach. Wydaje mi się też, że to nasze życie studenckie – wydaje mi się, bo nie znam dzisiejszego – prowadziło do trwalszych przyjaźni. Osobę, którą uważam za najbliższego przyjaciela, znam od czasów studiów. Ten związek się utrzymuje, bo wtedy zawierało się autentyczne

przyjaźnie. Być może wychodzę na zgorzkniałego starszego pana, ale wątpię, czy dzisiaj młodzież jest zdolna do budowania tak trwałych relacji. Cóż, współczynnik egoizmu niesłychanie wzrósł. Nazywamy to „indywidualizmem”, „kreatywnością”, „innowacyjnością”, a jest to po prostu dążeniem do sukcesu za każdą cenę i myśleniem tylko o sobie. Proszę pamiętać, że wtedy były zupełnie inne czasy, co polegało na tym, że nikt z nas nie myślał w kategoriach kariery, sukcesu, ani materialnego, ani innego. Wynikało to z dwóch powodów. Po pierwsze, wiadomo było, że wybierając takie studia i później spełniając się jako nauczyciel, archiwista, czy dziennikarz, nigdy nie miało się szans na powodzenie materialne. Ale nie było w tym nic złego, bo wszyscy mniej więcej żyli tak samo. Ludzie bogaci jak na tamte czasy to byli tak zwani badylarze, a na nich też patrzono z pogardą. Podobnie jak na dążenie do wzbogacenia się. Może to i źle, może nie. Nie wiem, ale generalnie w środowisku inteligenckim, nie tylko studenckim, bo także w znanych mi domach inteligenckich, uważano, że dążenie do wzbogacenia się jest czymś niegodnym inteligenta. Inteligent powinien być taki trochę przymierający głodem, a w każdym razie żyjący bardzo skromnie. Należało to do etosu. Poza tym wzbogacić mogły się tylko trzy typy ludzi: badylarz, czyli osoba nastawiona na materię, karierowicz, czyli sługa reżimu, albo kombinator, czyli cwaniak i złodziej. Innej możliwości nie było. W każdym razie byliśmy nastawieni na idee, koncepcje, rzeczy ogólne, a nie na siebie. O jakiej więc karierze można było mówić? Nawet jeżeli zostawialiśmy po studiach na stażu, a potem na asystenturze w Instytucie Historycznym czy Instytucie Historii PAN-u, a kilku osobom z mojego roku to się udało, to nie myśleliśmy o tym jako o początku kariery. Była to dla nas droga do realizacji swoich pasji i zainteresowań. Dlatego patrzyliśmy z pogardą na tych z nas, którzy studiowali historię najnowszą i później szli do takich niesławnych instytucji jak instytuty partyjne. Traktowaliśmy ich jak karierowiczów. Etos był właśnie taki: nie myśleliśmy o karierze, nie myśleliśmy o powodzeniu materialnym, żyjemy w naszym świecie. Oczywiście przynajmniej częściowo wynikało to z tego, że uważaliśmy, że rzeczywistość należy od siebie odsuwać.

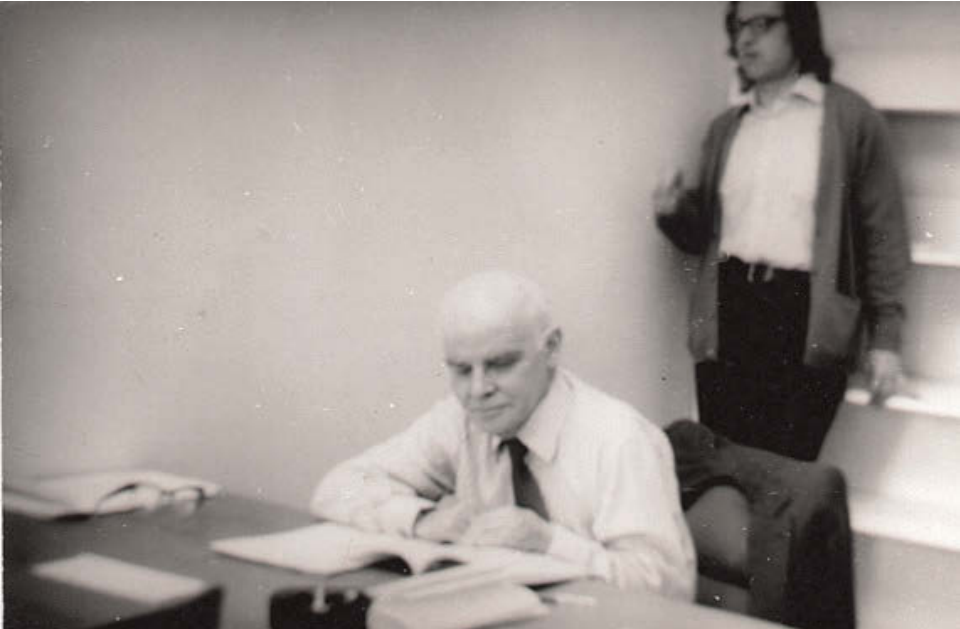
Jakim był Pan studentem?

Na studiach, podobnie jak w liceum, byłem typem prymusa. Miałem jedną jedyną czwórkę z egzaminu. I to nie z historii, tylko pedagogiki. Zresztą sytuacja była zabawna, bo potrafiłem dobrze zreferować koncepcję Jeana Piageta dotyczącą rozwoju intelektualnego dziecka, ale nie potrafiłem przedstawić podstawowych koncepcji pedagogiki radzieckiej. Ku wielkiemu zresztą oburzeniu egzaminatora, który, jak sam zaznaczał, mówił o tym na wykładzie. Cóż, zapewne tak, ale ja na żadnym jego wykładzie nie byłem. Coś tam oczywiście bełkotałem, że kolektywne i tak dalej, ale najwidoczniej nie trafiłem. To była moja jedyna czwórka. Ale muszę powiedzieć, że nigdy nie uważałem się za osobnika zdolnego. Po prostu się uczyłem. Oczywiście prawdą było to, że należałem do grona tak zwanych kujonów, bo mnie nauka po prostu sprawiała przyjemność. Zresztą do tej pory jedna z najbliższych mi osób, z którą zaprzyjaźniłem się właśnie na studiach, żartobliwie wypomina mi, że zawsze jak się spotykaliśmy, miałem przy sobie albo książkę, albo notatki. Ale mnie

to po prostu pociągało, nie potrafiłem inaczej. Tak więc zawsze nazywałem siebie kujonem, nigdy nie traktowałem się jako osoby zdolnej. Nawet potem mówiłem studentom, że ich obowiązkiem jest być kujonem, bo co za sens nie czerpać przyjemności z tego, co się studiuje?

Powróćmy do postaci Izy Biezuńskiej-Małowist. Wiele osób podnosi, że w dzisiejszych czasach relacja pomiędzy mistrzem i uczniem zanika. Jak to wyglądało w czasach Pańskich studiów? Jaki wpływ na formację intelektualną miała prof. Biezuńska? Widzimy, że jej portret czuwa nad Panem do tej pory. Znajdujemy się zresztą w jej mieszkaniu. Kogo jeszcze zaliczyłby Pan do swoich mistrzów? Jacy inni badacze wywarli istotny wpływ na Pana Profesora?

Wiedzą panowie, to bardzo szeroki temat i wiele można powiedzieć. Z właściwą starszym panom goryczą powiem, że moim zdaniem teraz właściwie nie funkcjonują w najmniejszym stopniu relacje mistrz – uczeń w polskiej przestrzeni akademickiej. Wynika to z postawy obu stron. Ani studenci nie szukają mistrza, ani profesorom nie chce się mieć uczniów w takiej relacji, w jakiej była ona kiedyś. Zacząłem studia ponad pięćdziesiąt lat temu. To były zupełnie inne czasy, powiedziałbym, że mocno jeszcze przedwojenne. Jest to oczywiście metafora, ale proszę wziąć pod uwagę, że wówczas od tak zwanego przedwojnia dzieliło mnie mniej czasu niż obecnie dzieli mnie od momentu, w którym rozpocząłem studia. To jeszcze było świeże. Pracownicy Instytutu Historycznego byli silnie ukształtowani przez okres przedwojenny. Zachowano więc niejako naturalnie pewne tradycje sprzed 1939 roku. A częścią legendy Instytutu już przed wojną było bardzo silne poczucie więzi grupowej wychowanków jednego seminarium, jak również wychowanków z mistrzem. Do tej legendy należało seminarium Marcellego Handelsmana. Po wojnie było w Instytucie charakterystyczne, że takie relacje utrzymywali profesorowie wychowani jeszcze przed wybuchem II wojny światowej. Do tej grupy należeli tacy uczeni jak właśnie Iza Biezuńska-Małowist, Marian Małowist, jej mąż, jak Tadeusz Manteuffel i Aleksander Gieysztor. Były oczywiście dwie rzeczy. Po pierwsze, że uczeń wchodził w bardzo bliską relację intelektualną, a po drugie pewien związek osobisty i emocjonalny. Wyrazem tego było to, że na przykład seminaria Mariana Małowista regularnie, a Izy Biezuńskiej dosyć często odbywały się właśnie w tym mieszkaniu, w którym się znajdujemy. Poza odbywanymi w domach seminariami uczniowie spotykali się ze swoimi mistrzami przy wielu okazjach, nazwijmy je, towarzyskich. Uczestnicy seminariów w sposób naturalny bywali w domach profesorów z okazji urodzin czy imienin. Wynikało to po prostu z potrzeby serca, a nie chęci podlizania się, czy zaskarżenia łaskawości promotora. Ale najważniejszy był ten związek intelektualny. W przypadku niektórych profesorów był silniejszy, w przypadku innych słabszy, mniej się narzucający. Ten drugi jest może lepszy. Myślę o tym, co było charakterystyczne dla seminarium Mariana Małowista czy Aleksandra Gieyszтора. Uczestnicy zajmowali się zasadniczo tym, czym zajmował się mistrz. Ich zainteresowania i prace naukowe były ściśle skupione wobec projektu, jakbyśmy dziś powiedzieli, mistrza. Można sobie omal wyobrazić, że były to wielkie prace zespołowe, z których wyrastały doktoraty i habilitacje. Jednak nie było to w żadnym



Marian Małowist, z tyłu Włodzimierz Lengauer. Princeton, rok 1974 lub 1975

razie naśladowanie mistrza, powielanie jego pomysłów czy wykonywanie zadania na jego polecenie. Wszyscy uczniowie podejmowali prace zgodnie z własnymi zainteresowaniami, a mistrz dostosowywał się do tego i czasem sam musiał się doskonalić zgodnie z zainteresowaniami uczniów.

Jakim mistrzem była Iza Biezuńska-Małowist?

Biezuńska prezentowała nieco inną szkołę. Ona sama uważała się za uczennicę przede wszystkim Zdzisława Zmigrydera-Konopki. Przed wojną uczestniczyła w seminarium tego bardzo młodego badacza. Zmigryder-Konopka zmarł w 1939 roku w wieku 42 lat. Czyli kiedy Biezuńska uczęszczała na jego seminarium, był to człowiek przed czterdziestką. W zasadzie według ówczesnych terminów zajmował stanowisko *Privatdozent*. Uczył na Uniwersytecie, żeby utrzymać *veniam legendi*, ale nie był pracownikiem etatowym. Prowadził proseminarium, w którym uczestniczyła Iza Biezuńska. Seminarium magisterskie wybrała zaś u Tadeusza Wałka-Czerneckiego. Obaj byli wybitnymi uczonymi, których dorobek zachował w dużej mierze aktualność do tej pory, a jednak Iza Biezuńska nie zajęła się tym, czym zajmowali się jej nauczyciele. Ona napisała pracę magisterską o pozycji społecznej kobiety w Egipcie grecko-rzymskim. Nie dość, że tym tematem nie zajmował się ani Wałek, ani Zmigryder, to dodatkowo jej trzeci, przynajmniej częściowo mistrz, Jerzy Manteuffel, u którego studiowała papirologię, też w swoich badaniach nawet nie zahaczył o tematykę wybraną przez młodą Biezuńską. Była bowiem tradycja właśnie i Zmigrydera, i Wałka, żeby kierować uczniów na temat zupełnie inny niż ten, którym zajmował się mistrz. Uczeń miał się sam sprawdzić. Podjąć się czegoś całkowicie na

własny rachunek. Proszę zwrócić uwagę, że wybitnym uczniem Wałka był ks. Franciszek Sokołowski, autor trzytomowego wydania *Lois sacrées*. A przecież jego nauczyciel zupełnie się tą tematyką nie zajmował. Dokładnie taki kierunek i pogląd reprezentowała Iza Biezuńska-Małowist, aczkolwiek akceptowała lub nie pewne kierunki i typy zainteresowań. Muszę powiedzieć, że chyba jednak z pożytkiem dla swoich uczniów. Jak już wspomniałem, od drugiego roku studiów wiedziałem, że chcę studiować historię starożytną, i wówczas przeczytałem popularny cykl religioznawczy Tadeusza Zielińskiego. A może to było jeszcze na pierwszym roku? W każdym razie zainteresowała mnie problematyka religii. Równoległe przeczytałem zapomnianą już pracę Gastona Boissier o religii rzymskiej. Może i słusznie już zapomnianą, bo to w końcu stara rzecz, dziewiętnastowieczna, ale do tej pory pamiętam elegancki język autora. Gdy byłem na pierwszych latach studiów, ukazało się w Polsce tłumaczenie *Traktatu o historii religii* Mircei Eliadego. Praca zrobiła na mnie ogromne wrażenie jako podstawa teoretyczna, wprowadzając mnie ogólnie w religioznawstwo. Chciałem pójść w tym kierunku i muszę przyznać, że od tego czasu zaczęły się moje lektury dotyczące tej tematyki, ale Iza Biezuńska-Małowist powiedziała, że po pierwsze jestem za zielony, niedojrzały, że ta problematyka wymaga i dojrzałości, i długich studiów i że na pracę magisterską jest to zupełnie wykluczone. Wymyśliła temat trochę podobny, który dał mi możliwość pewnego czytania w tym kierunku. Zająłem się stosunkiem do życia i śmierci w inskrypcjach nagrobnych. Temat wymagał ode mnie dużej pracy i dużego czytania. Pamiętam dobrze, te inskrypcje nagrobne były na podstawie *Carmina Latina epigraphica* w wydaniu Franza Buechelera i *Carmina sepulcralia Latina* Iwana Chołodniaka, ale promotorka kazała mi przestudiować całość inskrypcji nagrobnych z Rzymu. Do dziś pamiętam, jak w czasie wakacji przyjeżdżałem dzień w dzień na Krakowskie Przedmieście. Jak tylko otwierano lektorium, stawiałem się tam, także w sierpniu, chociaż czytelnia była teoretycznie zamknięta, ale na polecenie Izy Biezuńskiej-Małowist mnie wpuszczano. Brałem do ręki VI tom *CIL*-u i czytałem od deski do deski. Czasem ze złością i płaczem, bo nie zawsze sobie z łaciną radziłem, obłożony słownikami przebrnąłem przez to. Biezuńska uważała, że to świetna szkoła, bo mam także opanować języki, kładła na to ogromny nacisk. Proszę pamiętać, że ona studiowała przed wojną bardziej filologię niż historię. Żeby mieć dyplom z historii, zdała wszystkie wymagane do tego egzaminy, no i te seminaria u Zmigrydera i Wałka, ale poza tym wszystkie wpisy w indeksie są wyłącznie z filologii. Wpisy od Zielińskiego, Przychockiego, Strzeleckiego, Turyna... Sama filologia. Biezuńska była mocno nastawiona na studiowanie języków klasycznych.

Tutaj mała dygresja. Któreś inne wakacje spędziłem przedzierając się przez *Anabazę* Ksenofonta. Dzień w dzień. Od rana do wieczora. Biezuńska wymagała ode mnie opanowania greki w takim stopniu, żebym tekst literacki mógł czytać bez większego trudu. W tym celu mam czytać autorów. No i padło na *Anabazę* po grecku. Całe wakacje mi na to poszły.

W każdym razie temat pracy magisterskiej trochę mnie wciągnął, bo przy okazji musiałem czytać dookoła tematu. Już wtedy przedzierałem się przy jeszcze nie

najlepszej znajomości niemieckiego przez *Psyche* Erwina Rohdego. To była moja pierwsza lektura książki, którą czytam do dziś. Pamiętam, że jedną z innych lektur obowiązkowych, którą mi poleciła, była praca Angela Brelicha *Aspetti della morte nelle iscrizioni sepolcrali dell'impero romano*. Po włosku! To też świadczyło o jej wysokich wymaganiach. Do dziś pamiętam, jak nieśmiało powiedziałem, że ja przecież nie znam włoskiego. Popatrzyła na mnie z lekkim zdziwieniem i powiedziała: „Jak to, znasz łacinę i znasz francuski, to co to za problem czytać po włosku”? I tym sposobem do tego usiadłem. Oczyczałem się, przyznając, że wyrobiłem sobie łacinę, i tak powstała moja praca magisterska. Potem zamierzałem wrócić do spraw religii, ale ona mnie znowu bardzo powstrzymywała. Co więcej, powstrzymał mnie przed tym właściwie Moses Finley, poznany dzięki Małowistom. Od pewnego momentu stałem się bowiem członkiem domu Izy i Mariana Małowistów, stąd tutaj mieszkam.

Skąd na Pana drodze naukowej pojawił się Moses Finley?

Podczas pobytu w Anglii Małowistów, którzy oboje mieli *fellowship* w Clare Hall na rok 1971, poznałem Mosesa Finleya. Rozmawiałem z nim o mojej przyszłości naukowej, mówiłem, czym chciałbym się zajmować, i on podtrzymał moje dążenie do studiowania kultury i społeczeństwa greckiego, ale powiedział, że jeszcze za wcześnie na sprawy religijne. Ewentualnie mógłbym opracować zespół inskrypcji dotyczący jednego kultu, ale na tym etapie nic więcej. Poza tym w tym czasie w Polsce nie było nikogo, kto by się zajmował religią antyczną w sposób poważny. Wyjątkiem było paru, powiedzmy, religioznawców, jak na przykład Zygmunt Poniatowski, ale nie był to ktoś, z kim chciałem być kojarzony naukowo. Wobec tego posłuchałem ich, ale muszę przyznać, że wówczas moje przekonanie, że kiedyś będę się zajmował religią, ukształtowało się najsilniej. Właśnie wtedy, w Cambridge. Pamiętam do dziś moją lekturę książki, która zrobiła na mnie największe wrażenie ze wszystkich lektur starożytnych tamtych czasów i którą uwielbiam do dziś, czytałem ją z wypiekami na twarzy nie mogąc się oderwać, niczym dobry kryminał lub powieść przygodową, mianowicie *Themis. A Study of Social Origins of Greek Religion* autorstwa Jane Harrison. Do dziś książka stoi na mojej półce i uważam ją za niesłychanie ważną i interesującą nawet teraz. Można powiedzieć, że to był właśnie początek pracy nad książką, która została opublikowana w 1994 roku. Nad *Religijnością starożytnych Greków* myślałem dwadzieścia pięć lat. Właśnie od tego etapu, kiedy to niby nad religią nie pracowałem, a na pewno nic nie pisałem. Muszę jednak przyznać, że zajmowałem się czymś, co mnie najbardziej zafascynowało i może do dziś mnie najbardziej interesuje. Mam na myśli to, co nazywam *imaginarium*, światem wyobrazeniowym, co ludzie sobie wyobrażali i jak ten wyobrażony świat na nich oddziaływał. Właśnie ten tok myślenia doprowadził mnie do habilitacji. Starłem się wówczas odpowiedzieć na pytanie, jak się rodzą, jak funkcjonują i skąd w ogóle biorą się pewne idee. Jak Grecy wpadli na to, że społeczeństwo ma być demokratyczne, że ludzie mają decydować, jak się to wiązało z całością innych przekonań. W tym kierunku pchnął mnie Moses Finley.



Z Hansem-Georgiem Pflaumem (w środku) i Pawłem Szapirą,
Princeton, luty 1975 r.

Czy jacyś inni uczeni wywarli wpływ na drogę naukową Pana Profesora?

Muszę jeszcze raz powiedzieć, że zawdzięczam to, że zostałem przy starożytności, Izie Biezuńskiej-Małowist. Co do innych badaczy, to cóż... Z polskich ceniłem prof. Józefa Wolskiego. Nasze ścieżki przecięły się przy okazji mojej habilitacji, był jej recenzentem i ogromnie miłym człowiekiem, ale w żaden sposób nie mogę się nazwać jego uczniem. Nie miałem z nim w zasadzie kontaktu intelektualnego. Za ten kontakt miałem z dwoma innymi badaczami, u których zresztą studiowałem. Mam na myśli Jerzego Kolendę i Benedetta Bravo. Pomimo że w czasie moich studiów oni mieli jeszcze daleko do profesury, ba, nawet nie mieli jeszcze habilitacji, byli bardziej starszymi kolegami, ale bardzo dużo się od nich nauczyłem. Muszę jeszcze wspomnieć jedną osobę, która wywarła na mnie wpływ już w moim dojrzałym życiu, kiedy przygotowywałem habilitację, a był to Gerhard Wirth z Bonn. Bardzo dużo dały mi nasze rozmowy. Myślę, że przy wyborze tematu rozprawy habilitacyjnej odegrał podobną rolę jak Moses Finley przy doktoracie. Drugą ważną dla mnie postacią w tamtym czasie był nieżyjący już Pierre Lévêque. Już jako dojrzały człowiek, tuż przed habilitacją, referowałem parokrotnie na jego seminarium moją pracę o równości. Miałem okazję z nim dyskutować, co było dla mnie o tyle pouczające, że pomogło mi to uświadomić swoje własne credo metodologiczne. Otóż Lévêque był – jak to się zdarzało w nauce francuskiej – poststrukturalistą i postmarksistą, badaczem z tendencją do szerokich i ogólnych twierdzeń. Widać to było w zakresie naszych wspólnych zainteresowań *imaginarium*. Był to niewątpliwie

człowiek z wizjami i koncepcjami. Pamiętam dobrze, jak – przy całej francuskiej uprzejmości i elegancji, zgodnie z którą, jak wiadomo, zawsze wypada mówić tylko dobrze – chwając mnie bardzo za pewne moje wystąpienie na jego seminarium powiedział: „No ale wie pan, to, co pan tu uprawia, to jest taka czysta *histoire philologique*”. Z jego strony nie był to komplement. Ale ja sobie właśnie wtedy w pełni uświadomiłem, że on trafnie ujął moją podstawę, że to, co ja uprawiam i co jest moją podstawą, to są badania historyczno-filologiczne, a więc praca oparta przede wszystkim na tekstach, na analizie, także czysto językowej, gdzie ogromnie ważne jest znaczenie terminów. Niby banalne stwierdzenie, że nie można snuć rozważań i budować koncepcji, które nie mają dosłownego, *nomen omen*, oparcia w źródłach. To zresztą wbijała do głowy wszystkim swoim uczniom na seminarium Iza Biezuńska-Małowist: podstawą rozumowania jest tekst lub inny obiekt, ale źródło, a nie nasze założenie ogólne i wyobrażenie o tym, jak to było. Oczywiście to drugie podejście bywa ważne w pracy historyka. Czasem warto sobie „wyobrazić”. Muszę przyznać, że bardzo często wyobrażam sobie rzeczywistość antyczną, mam przed oczami ludzi składających ofiary, jak się zachowują, co czują. Ale to jest moja fantazja, fikcja. To, na czym mogę zbudować narrację, to są wypowiedzi źródłowe, a nie moja imaginacja. I chyba z tego podejścia wynika moja nieśmiałość przed podjęciem pewnych tematów, bo zdaję sobie sprawę, że czasem pewne prace powstają w dyskusji z innymi pracami i koncepcjami. Ale są to koncepcje, przy których całkowicie zapomina się o podstawie źródłowej.

Czy widzenie historii w perspektywie kultury, co jest cechą charakterystyczną dla Pańskiego dorobku, też jest zasługą Izy Biezuńskiej-Małowist?

Tu bym powiedział: „tak, ale...” Sytuacja przedstawia się w tej kwestii nieco inaczej. Biezuńska sama miała zainteresowania pozornie odrębne, powiedziałbym, że bardzo konkretne. Zajmowała się przecież głównie problematyką społeczną. Mówię: „pozornie”. Spójrzmy na temat jej pracy magisterskiej. Zajęcie się pozycją kobiet było jak na owe czasy pionierskie, całkowicie. Nikt wówczas na takie tematy nie wpadał. Proszę pamiętać: nikt przecież nie znał wtedy takich pojęć jak *gender studies* czy cokolwiek podobnego. Jeżeli pisano o pozycji czy sytuacji kobiet, to tylko w kontekście historii obyczajów, to tyle. Przykładem choćby Ludwiga Friedländera *Sittengeschichte Roms*. Biezuńska miała pewne zainteresowania, które dominowały i wyznaczały jej kierunek badawczy, które i mnie się jakoś udzieliły. Po pierwsze zainteresowanie ludźmi. Właśnie nie mechanizmami i zjawiskami, lecz człowiekiem. I szczególnie człowiekiem dyskryminowanym, uprzedmiotowionym. Chyba dlatego zajęła się niewolnictwem. Jak mi sama kiedyś powiedziała, wynikało to w dużej mierze z jej doświadczeń wojennych, kiedy sama była właśnie w takiej sytuacji. Osoby, która nie była człowiekiem. Żydzi nie byli dla Niemców ludźmi. W tej sytuacji odczuła to bardzo wyraźnie. W związku z tymi doświadczeniami zainteresował ją inny problem: jak ludzie sobie z tym radzili. Jak antyczni Grecy radzili sobie z tym, że mają za towarzysza drugiego człowieka, którego za człowieka nie uważają. To jest coś, co jest elementem sposobu myślenia charakterystycznego dla danej kultury. Z pewnością to na mnie ogromnie wpłynęło.

Jakie momenty w karierze zawodowej uznaje Pan za najważniejsze?

Niewątpliwie takim momentem był roczny pobyt w Stanach Zjednoczonych, któremu zawdzięczam bardzo dużo, włącznie z szybkim przygotowaniem pracy doktorskiej. W gruncie rzeczy był to pobyt całkowicie prywatny. Marian Małowist był wówczas *visiting member* w Institute of Advanced Study w Princeton. Jak już wspomniałem, złożyło się, że zostałem przybrany synem Izy i Mariana Małowistów, więc był to wyjazd rodzinny. Znalazłem się w Princeton bez żadnych obowiązków, a za to z dostępem do klucza do znakomitej, kameralnej biblioteki. Cóż, w Princeton nie ma wiele do roboty, więc po kolacji brałem klucz, który miał do dyspozycji Marian Małowist, szedłem do biblioteki i pracowałem choćby do drugiej w nocy. Ten pobyt był dla mnie przełomowy. Znalazłem się, jako dwudziestoparolatek, w ośrodku naukowym z prawdziwego zdarzenia. Poza bogatą w zasoby starożytnicze biblioteką poznałem tam również kilku wybitnych uczonych, jak Christian Habicht czy Ronald Syme na przykład. Szczerze mówiąc Syme'a poznałem dosyć jednostronnie, bo uczestniczyłem w jego wykładzie, ale z Habichtem utrzymywałem później kontakt. Uważam, że ten pobyt mnie ukształtował i bardzo na mnie wpłynął także w tym wymiarze, że zobaczyłem, co to jest prawdziwa praca naukowa. Zrozumiałem wówczas, że trzeba przeprowadzić całe rozumowanie osadzone w źródłach, czego już mnie nauczyła Iza Biezuńska, ale także w całej tradycji naukowej, literaturze, a tego nie da się zrobić bez dobrze zaopatrzonej biblioteki. Widzą panowie, miałem wtedy dwadzieścia pięć lat i trafiłem zza żelaznej kurtyny do jednego z najlepszych instytutów naukowych świata. W ogóle dla mojego rozwoju naukowego, zwłaszcza w tamtym okresie, bardzo ważne były wyjazdy i pobyty zagraniczne. Myślę, że bez nich, w ówczesnych warunkach, nie zostałbym historykiem starożytnej Grecji. Chyba bym się wycofał. Przecież my nie mieliśmy możliwości dotarcia czasem i do podstawowej literatury, nie mówiąc o tym, co było jeszcze bardziej deprymujące, o braku kontaktów. Teraz dla naszych studentów nie jest atrakcją, jak przyjeżdża znakomity zagraniczny profesor, bo student wyjeżdża na Erasmusa i widuje go bez problemu. Dla nas to były wydarzenia. A w pracy naukowej brak kontaktów, brak możliwości referowania, dyskusowania w gronie specjalistów jest po prostu zabójczy. Dzięki pobytowi w Princeton i późniejszym wyjazdom zagranicznym, których dzięki Izie Biezuńskiej miałem sporo, w tym pobytowi w Niemczech czy pół roku, które spędziłem u Pierre'a Lévêque w Besançon, miałem wiele możliwości długich rozmów ze znakomitymi uczonymi. Podczas tego ostatniego pobytu napisałem dużą część mojej pracy habilitacyjnej, bo Lévêque niemal zamykał mnie na klucz w małym gabinecie i sprawdzał, ile stron napisałem. Oczywiście ważniejsze od tej skutecznej, co tu ukrywać, metody była możliwość dyskusji z Lévêque'em i gronem uczestników prowadzonego przez niego seminarium. Tak, zdecydowanie te sześć miesięcy było równie ważne dla mnie przy, powiedzmy, końcówce najintensywniejszego rozwoju naukowego, co rok w Princeton na jego początku.



W Kaliforni, 1975 r. Na dolnej fotografii z Izą Biezuńską-Małowist



Jeżeli chodzi o pracę na Uniwersytecie i związaną z nią pozycję, to w tym względzie przełomowy był moment zrobienia habilitacji. Teraz hierarchia akademicka mocno się spłaszczyła. Gdy w 1985 roku zrobiłem habilitację, miałem dopiero 36 lat. Już wcześniej wspominałem, że przyjechałem na studia w wieku 17 lat, później szybki doktorat i w efekcie szybka habilitacja. W każdym razie w tamtym okresie fakt zostania samodzielnym pracownikiem naukowym rzeczywiście zmieniał pozycję człowieka w instytucji, w której pracował. Począwszy od tego, że nie musiałem odbywać już dyżurów asystenckich i zostałem przeniesiony z pokoju, gdzie gnieździli się wszyscy niesamodzielnymi, do tak zwanego pokoju profesorskiego. A to wiązało się z otrzymaniem tabliczki z własnym nazwiskiem na drzwiach. Dodatkowo dziekan od razu powoływał do Rady Wydziału. Niemal z automatu zostawało się docentem. A był to czas, w którym nominację podpisywał minister. Proszę sobie wyobrazić, jaką to przepaść wywoływało nawet pomiędzy starszymi kolegami, którzy jeszcze nie mieli habilitacji. Jeśliby to tak zamknąć, to zawsze powiadam, że zmieniałem się do 1985 roku, a od tego czasu jestem spetryfikowaną skamieliną profesorską.

Dziękujemy za rozmowę.

a.gillmeister@ih.uz.zgora.pl
adrian.szopa@up.krakow.pl

ARGUMENTUM

Universitatis Varsoviensis professor Vladimirus Lengauer, rerum gestarum atque religionis Graecae scrutator clarissimus, narrat Andreae Gillmeister et Hadriano Szopa de suis studiis iuvenilibus et de via, quae eum ad hodiernas investigationes duxerit.